

**KLASYKA
KRYMINAŁU
Z JOHNEM
REBUSEM**

IAN RANKIN

**KIEDY WSZYSCY ODWRACAJĄ GŁOWY,
TYLKO REBUS PATRZY PROSTO W MROK.
BO ZNA GRZESZNE SEKRETY TEGO MIASTA.**

MĘTNA WODA

 **ALBATROS**

Tytuł oryginału:
HIDE AND SEEK

Copyright © John Rebus Ltd. 1990
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022

Polish translation copyright © Magda Zubrycka-Wernerowska, Storytel 2022

Redakcja: Agnieszka Zygmunt

Projekt graficzny serii i okładki: Agnieszka Drabek

Zdjęcia i ilustracje na okładce: Zackry Stetler/Shutterstock (*okno*);

evenfh/Shutterstock (*panorama na froncie*);

Kostiantyn L/Shutterstock (*mapka*);

Igillustrator/Shutterstock (*panorama na tyle*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



ALBATROS

DETEKTYW EDYNBURSKIEJ POLICJI

John Rebus

Szkocki twardziel, który podczas konfliktu irlandzkiego służył w brytyjskiej armii i przeszedł szkolenie w elitarnej jednostce SAS.

Słucha muzyki klasycznej, jazzu, ale też rocka: Rolling Stonesów, The Who czy Jethro Tull. Ma imponującą kolekcję płyt – winylowy gość w zdigitalizowanym świecie.

Jeździ kultowym Saabem 900.

Powiedzieć, że nie stroni od alkoholu, to niedomówienie: pije piwo (głównie IPA) i whisky (jego ulubiona to Bell's), najchętniej w edynburskim Oxford Bar. I pali, o wiele za dużo.

Ma córkę i jest rozwiedziony. Jeśli chodzi o kobiety, raczej brakuje mu szczęścia.

Nieufny wobec autorytetów, postrzega świat w czarno-białych kolorach, a ludzi dzieli na dobrych i złych.

Szlachetny samotnik, trochę nieokrzesany, który dobre serce maskuje szorstkim usposobieniem i złośliwym poczuciem humoru.

I za to go kochamy!

– SCHOWAJ SIĘ! – wrzasnął przerażony z twarzą bladą jak ściana.

Stała na szczycie schodów, gdy nagle podbiegł, chwycił ją za ramiona i pchnął mocno w dół z niekontrolowaną siłą. Wystraszyła się, że zaraz oboje spadną, i krzyknęła.

– Ronnie! Ale przed kim się chowamy?

– Schowaj się! – ryknął, wymachując ręką w stronę drzwi. – Schowaj się! Oni nadchodzą! Idą tu!

Popchnął ją aż do drzwi wejściowych. Już wcześniej widziała go na głodzie, ale nigdy z takimi urojeniami. Pomogłaby mu działka, była tego pewna. Była również pewna, że przyrzady ma na piętrze w swojej sypialni. Pot spływał mu z wychłodzonej głowy, nadając jego włosom kształt szczurzych ogonów. Jeszcze dwie minuty temu najważniejszą decyzją w jej życiu było to, czy odważyć się na wyprawę do cuchnącej toalety w squacie. Ale teraz...

– Oni nadchodzą... – powtórzył, teraz już szeptem. – Schowaj się...

– Ronnie, przerażasz mnie.

Nie spuszczał z niej otępiełego spojrzenia, jakby jej nie rozpoznawał. Potem odwrócił wzrok i znów zapatrzył się w dal, w otchłań własnego świata. Kolejna komenda wybrzmiała niczym wężowy syk:

– Schowaj się...

Silnym szarpnięciem otworzył drzwi. Na zewnątrz padał deszcz, więc zawahała się, lecz ośladnięta strachem, postanowiła przekroczyć próg. Ale wtedy chwycił ją za ramię i wciągnął z powrotem do środka. Przytulił ją. Jego pot miał słony zapach morza, ciało drżało. Usta były blisko jej ucha, oddech miał gorący.

– Zamordowali mnie – powiedział.

Nagle z zaciekłością pchnął ją ponownie i tym razem znalazła się na zewnątrz, a drzwi się zatrzęsły. Został sam w domu. Sam ze sobą. A ona stała na ogrodowej ścieżce, wpatrując się w drzwi i próbując zdecydować, czy wrócić do niego, czy zapukać...

Nic by to nie dało. Wiedziała o tym i zaczęła płakać. Zrozpaczona pochyliła głowę, co nie zdarzało się często, i przez całą minutę wylewała łzy, aż wreszcie rozejrzała się, wzięła trzy głębokie wdechy i puściła się biegiem ogrodową ścieżką, nie wiedząc, dokąd prowadzi. Może ktoś ją przygarnie. Może ktoś ją pocieszy, może odpędzi lęk i wysuszy jej ubranie.

Ktoś zawsze to robił.

JOHN REBUS WPATRYWAŁ SIĘ W stojące przed nim danie, nie skupiając się na rozmowach przy stole, muzyce w tle,

migoczących świecach. Nie obchodziły go ani ceny domów w Barnton, ani najnowsze delikatesy na Grassmarket. Nie miał specjalnej ochoty na pogaduszki z pozostałymi gośćmi (wykładowczynią siedzącą po prawej i księgarzem po lewej) o... hm... o czymkolwiek teraz rozmawiali.

Owszem, kolacja była doskonała, a rozmowa równie pikantna jak podana wcześniej przystawka i naprawdę się cieszył, że Rian go zaprosiła. Oczywiście, że się cieszył. Ale im dłużej wpatrywał się w połówkę homara na swoim talerzu, tym bardziej narastała w nim nie do końca uświadomiona desperacja. Co go właściwie łączyło z tymi ludźmi? Czy zaśmialiby się, gdyby opowiedział historię o policyjnym owczarku i odciętej głowie? Nie, nie zaśmialiby się. Uśmiechnęliby się taktownie i pochylili głowy nad swoimi talerzami, uznając, że jest... no, inny niż oni.

– Warzywa, John?

To był głos Rian, upominającej go między wierszami, że nie bierze udziału w rozmowie ani nawet nie wygląda na zainteresowanego. Z uśmiechem przyjął duży półmisek, ale unikał jej wzroku.

Była miłą dziewczyną. Całkiem niezwykłą na swój sposób. Jasnorude włosy obcięte na pazia, oszałamiające, głębokie zielone spojrzenie, wargi cienkie, lecz obiecujące. O tak, podobiała mu się, w przeciwnym razie nie przyjąłby jej zaproszenia. Poszukał na półmisku brokułu, który nie rozpadłby się na tysiąc kawałków, i próbował przełożyć go na swój talerz.

– Wspaniałe jedzenie, Rian – odezwał się księgarz, a ona uśmiechnęła się, przyjmując komplement z lekko

zaczerwienioną twarzą.

Wystarczy tak niewiele, John. Wystarczy kilka słów, żeby uszczęśliwić tę dziewczynę. Ale wiedział, że w jego ustach te słowa zabrzmiały sarkastycznie. Nie potrafił zmieniać tonu głosu jak elementu garderoby, była to część jego osobowości, pielęgnowana przez lata. Kiedy więc wykładowczyni zgodziła się z księgarzem, John Rebus wciąż tylko się uśmiechał i kiwał głową, ale uśmiech był zbyt sztuczny, a kiwnięcia trwały o parę sekund za długo, dlatego wszyscy znów wlepili w niego wzrok. Brokuł rozpadł się wprost nad jego talerzem i rozpryskał na obrusie.

– Kurwa! – zawołał Rebus i natychmiast uświadomił sobie, że to zbyt wulgarne słowo, a już na pewno nie było stosowne w tych okolicznościach. No cóż, stało się, był przecież człowiekiem, a nie chodzącym słownikiem. – Przepraszam.

– Nic się nie stało – rzuciła Rian.

Mój Boże, jej głos był taki zimny.

To było idealne zakończenie idealnego weekendu. W sobotę poszedł na zakupy, rzekomo po garnitur, który planował włożyć wieczorem, lecz zniechęciły go ceny, kupił więc kilka książek, z których jedna miała być prezentem dla Rian: *Doktor Żywago*. Później jednak zdecydował, że najpierw sam przeczyta tę powieść, i zamiast niej przyniósł kwiaty i czekoladki. Wyleciało mu z głowy, że Rian nie lubi lilii (czy nie mogła o tym przypomnieć?), i nie pomyślał o diecie, którą właśnie rozpoczęła. Psiakrew. Na domiar złego rano postanowił iść na mszę do kalwińskiego Kościoła Szkocji w pobliżu jego mieszkania. Kościół, w którym był

poprzednio na próbę, wydał mu się nieznośnie zimny i nie obiecywał nic poza wszechobecnym grzechem i skrucą, za to ten okazał się jego nieszczęsnym przeciwieństwem: sama miłość i radość. Czy było w nim miejsce na pokutę? Rebus odśpiewał więc pieśni, pożegnał pastora przy drzwiach uściskiem dłoni, obiecał, że wróci, i szybko się zmył.

– Więcej wina, John?

To był księgarz. Podsunął butelkę, którą sam przyniósł. Wino nie było najgorsze, ale księgarz wynosił je pod niebiosą, łechtając swoją próżność, i Rebus poczuł się w obowiązku odmówić. Tamten uniósł brwi, lecz szybko się pocieszył, uznając, że będzie mieć więcej dla siebie. Napęlił z wigorem kieliszek.

– Na zdrowie – powiedział.

Rozmowa wróciła do tematu zatłoczonego w ostatnich dniach Edynburga – nareszcie coś, z czym Rebus mógł się zgodzić. Był koniec maja, sezon turystyczny trwał w najlepsze, lecz kryło się za tym coś jeszcze. Gdyby ktoś powiedział mu pięć lat temu, że w 1989 roku ludzie będą emigrować z południa Anglii na północ do Lothians, roześmiałby się głośno. Teraz stało się to faktem i odpowiednim tematem do konwersacji przy stole.

Później, znacznie później, gdy wykładowczyni i księgarz wyszli, Rebus pomagał Rian w zmywaniu naczyń.

– Co się z tobą dzieje? – zapytała, ale on myślał tylko o podanej mu przez pastora dłoni i o jego pewnym uścisku, zapewniającym o życiu pozagrobowym.

– Nic – rzucił. – Zostawmy to do rana.

Rian popatrzyła na kuchnię: na brudne naczynia,

niedojedzone homary, kieliszki do wina umazane tłuszczem.

– Dobrze – powiedziała. – Więc na co masz ochotę?

Powoli uniósł brwi, po czym je opuścił i jego usta rozszerzyły się w uśmiechu, który miał w sobie odrobinę zawadiactwa.

– Ależ inspektorze – wymruczała onieśmielona. – Czy to niemoralna propozycja?

– A to kolejna. – Gwałtownie przyciągnął Rian, przylgnął do jej ciała i wtulił twarz w jej szyję.

Pisnęła i zaciśniętymi pięściami zaczęła uderzać go w plecy.

– Brutalność policji! – wykrztusiła. – Ratunku! Policja, pomocy!

– Słucham, proszę pani? – powiedział, chwycił ją w talię i wyniósł z kuchni do ciemnej sypialni, która czekała na udany koniec weekendu.

NA PLACU BUDOWY PRZY obrzeżach Edynburga nastał późny wieczór. Kontrakt dotyczył postawienia kompleksu biurowego. Wysoki na pięć metrów płot odgradzał teren budowy od głównej drogi, którą zresztą zbudowano niedawno, by zmniejszyć ruch wokół miasta i ułatwić osobom mieszkającym na przedmieściach dojazd do pracy w centrum.

Tego wieczoru na ulicach nie było samochodów. Jedyнным dźwiękiem był powolny warkot wydobywający się z betoniarki, która stała na placu budowy. Mężczyzna karmił ją łopatami szarego piasku i wspominał odległe

czasy, kiedy pracował na budowie: harówka była ciężka, ale zapłata uczciwa.

Dwóch innych stało nad głębokim dołem, wlepiając w niego wzrok.

– Powinien wystarczyć – odezwał się jeden z nich.

– Tak – zgodził się drugi.

Ruszyli z powrotem do samochodu, nie najnowszego fioletowego mercedesa.

– On musi mieć układy. Żeby zorganizować klucze do tego miejsca i załatwić sprawę. Na pewno ma układy.

– Nie jesteś od zadawania pytań, dobrze o tym wiesz.

– Mężczyzna, który to powiedział, najstarszy z ich trójki, jako jedyny był kalwinistą. Otworzył bagażnik.

Wewnątrz leżało sponiewierane ciało nastolatka, wątłego i najwyraźniej martwego. Jego skóra miała różne odcienie szarości, najciemniejsze – grafitowe – tam, gdzie były siniaki.

– Cóż za strata – powiedział kalwinista.

– Tak – zgodził się drugi.

Razem wyjęli zwłoki z bagażnika i delikatnie przenieśli w stronę dołu. Gdy opadały miękko na dno, jedna noga na chwilę zaklinowała się na lepkich glinianych ścianach i nogawka spodni podsunęła się, ukazując nagą kostkę.

– W porządku – rzucił kalwinista do tego z betoniarki – zalej to i chodźmy stąd. Umieram z głodu.

PONIEDZIAŁEK

*Od wielu lat nikt się tu nie zjawiał, by przegonić tych
przypadkowych gości czy naprawić poczynione przez nich
zniszczenia.*

NIEZŁY POCZĄTEK TYGODNIA PRACY.

Osiedle, widoczne przez przednią szybę zalaną deszczem, powoli zamieniało się w pustkowie, którym było już wiele lat temu, zanim wprowadzili się tu budowlańcy. Nie miał wątpliwości, że w latach sześćdziesiątych władze uznały je za doskonałe rozwiązanie narastających potrzeb mieszkaniowych, podobnie jak ich koledzy z Edynburga, którzy postanowili zagospodarować teren wokół miasta. Zastanawiał się, czy z perspektywy czasu planiści doszli do innych wniosków na ten temat. Jeżeli nie, to być może współczesne „doskonałe” rozwiązania w przyszłości okażą się równie niedoskonałe.

Tereny zielone porastała wysoka trawa z mnóstwem chwastów, a asfaltowe place zabaw dla dzieci wyglądały jak po bombardowaniu, usiane odłamkami szkła, które tylko czekały na kolana potykających się dzieciaków lub niezdarne ręce. Większość budynków szczyciła się zabitymi deskami oknami, popękanymi rynnami odprowadzającymi na ziemię wodę deszczową oraz bagnistymi ogródkami

od frontu z połamanymi płotami i brakującymi bramami. Pomyślał, że w słoneczny dzień to miejsce jest jeszcze bardziej przynębiające.

Mimo to w odległości kilkuset metrów jakiś deweloper rozpoczął budowę apartamentowców. Nad placem budowy wisiał napis LUKSUSOWE MIESZKANIA, a osiedle nazwano: MUIR VILLAGE. Rebus, który nie dał się nabrać na ten pozorny blichtr, zastanawiał się, ilu nabywców się nabierze. To był tylko Pilmuir i zawsze nim będzie. Wysypiskiem śmieci.

Nie miał wątpliwości, o który dom chodzi. Stały tam dwa radiowozy i karetka pogotowia, zaparkowane obok spalonego forda cortiny. Ale nawet bez tego Rebus poznałby ten dom. Owszem, okna były zabite deskami, podobnie jak w sąsiadujących z nim budynkach, ale miał też otwarte drzwi, za którymi kryło się mroczne wnętrze. A poza tym, czy w taki dzień drzwi byłyby szeroko otwarte, gdyby nie trup w środku i zabobonny lęk przed duchami uwięzionych wraz z nieboszczykiem żyjących?

Rebus zaklął pod nosem, bo nie mógł zaparkować tak blisko drzwi, jak by sobie tego życzył. Zatrzymał samochód, zarzucił na głowę płaszcz przeciwdeszczowy, wysiadł i zaczął się przedzierać przez dżgający drobnymi szpilkami deszcz. Coś wypadło mu z kieszeni na pobocze, strzępek papieru, ale i tak go podniósł i w biegu wsunął z powrotem. Betonowa ścieżka prowadząca do otwartych drzwi była popękana i śliska od chwastów; niemal poślizgnął się i upadł, ale dotarł do progu nienaruszony. Strząsnął z siebie wodę i czekał na komitet powitalny.

Posterunkowy wystawił głowę zza drzwi i zmarszczył czoło.

- Detektyw inspektor Rebus – przedstawił się Rebus.
- Tutaj, panie inspektorze.
- Będę za minutę.

Głowa zniknęła, a Rebus rozejrzał się po wnętrzu. Jedyną pamiątką po tym, co kiedyś nazywano domem, były strzępy tapet. W powietrzu unosił się obezwładniający zapach wilgotnego tynku i gnijącego drewna, a za tym wszystkim kryło się poczucie, że to bardziej jaskinia niż dom, prymitywna forma schronienia, tymczasowa, przez nikogo niekochana.

Gdy wchodził dalej w głąb domu, mijając pustą klatkę schodową, ogarnęła go ciemność – wszystkie ramy okienne były zabite deskami, które odcinały dopływ światła. Przypuszczał, że w ten sposób zamierzano pozbyć się dzikich lokatorów, ale armia bezdomnych Edynburga była zbyt wielka i zbyt sprytna, więc squatersi przekradli się do środka przez prowizoryczną konstrukcję i zrobili z budynku swoją norę. I jeden z nich tu zginął.

Pomieszczenie, do którego wszedł, było zaskakująco duże, ale niskie. Żeby oświetlić miejsce zbrodni, dwóch posterunkowych trzymało grube, gumowe latarki, które rzucały ruchome cienie na gipsowo-kartonowe ściany. W efekcie powstał obraz Caravaggia – światło w centrum otoczone różnymi stopniami mroku. Dwie duże świece stojące na gołych deskach podłogi wypaliły się tak, że przypominały jajka sadzone, a między nimi leżało ciało – ze złączonymi nogami i rozpostartymi ramionami. Krzyż bez

gwoździ, mężczyzna nagi od pasa w górę. W pobliżu ciała stało szklane naczynie, które kiedyś zawierało niewinną kawę rozpuszczalną, a teraz były w nim jednorazowe strzykawki. Pewnie zabrakło gwoździ, pomyślał Rebus i uśmiechnął się nie bez poczucia winy.

Lekarz policyjny, chudy biedaczyna, klęczał obok ciała, jakby zamierzał udzielić zmarłemu ostatniego namaszczenia. Stojący pod przeciwległą ścianą fotograf przygotowywał sprzęt do zrobienia dobrych zdjęć. Rebus podszedł do zwłok i stanął nad lekarzem.

– Podaj latarkę – powiedział, wyciągając rękę do najbliższego stojącego mundurowego. Oświetlił ciało, zaczynając od bosych stóp, przez gołe nogi, po wychudzony tors i żebra prześwitujące przez bladą skórę. Następnie skierował snop światła na szyję i twarz. Usta otwarte, oczy zamknięte. Zasnęty pot na czole i we włosach. Ale zaraz... Skąd wzięła się wilgoć na wargach i wokół nich? Nagle do otwartych ust wpadła kropla wody. Zaskoczony Rebus liczył na to, że mężczyzna ją przełknie, obliże spierzchnięte wargi i wróci do życia. Pobożne życzenie.

– Dach przecieka – wyjaśnił lekarz, nie odrywając wzroku od wykonywanej pracy.

Rebus poświecił latarką w sufit i dostrzegł wilgotną plamę, źródło kapiącej wody. Mimo wszystko niepokojące.

– Przepraszam, że tak późno dotarłem – powiedział, starając się zachować opanowanie. – Co było przyczyną śmierci?

– Przedawkowanie – odparł beznamiętnie lekarz. – Heroina. – Machnął w stronę Rebusa małą polietylenową

paczuszką. – Zawartość tej saszetki, jeśli się nie mylę. W prawej ręce ma jeszcze jedną, pełną.

Rebus skierował latarkę w stronę pozbawionej życia dłoni, która lekko ścisnęła woreczek z białym proszkiem.

– Na to wygląda – rzucił. – Myślałem, że w dzisiejszych czasach ludzie nie wstrzykują już proszku, tylko go wciągają.

Lekarz w końcu na niego spojrział.

– To bardzo naiwny pogląd, inspektorze. Proszę porozmawiać z lekarzami ze Szpitala Królewskiego. Dowie się pan, jak wielu uzależnionych w Edynburgu przyjmuje narkotyki dożylnie. Prawdopodobnie setki. Dlatego też jesteśmy stolicą AIDS w Wielkiej Brytanii.

– Taaak, jesteśmy dumni z naszych statystyk, prawda? Choroby serca, sztuczne zęby, a teraz AIDS.

Lekarz się uśmiechnął.

– Jest coś, co może pana zainteresować – powiedział. – Na ciele widać siniaki. Niezbyt wyraźnie w tym świetle, ale są.

Rebus przykucnął i ponownie poświecił latarką na tors. Zgadza się, były siniaki. Dużo siniaków.

– Głównie na żebrach – dodał lekarz. – Ale jest też kilka na twarzy.

– Może upadł – zasugerował Rebus.

– Może.

– Panie inspektorze? – odezwał się jeden z posterunkowych, chłopak o przenikliwym głosie i spojrzeniu.

– Tak, synu?

– Proszę podejść i spojrzeć na to.

Rebus był zadowolony z pretekstu, żeby oddalić się od lekarza i jego „pacjenta”. Mundurowy poprowadził go do przeciwległej ściany, po drodze oświetlając ją latarką. I Rebus zrozumiał dlaczego.

Na ścianie znajdował się rysunek. Pięcioramienna gwiazda otoczona dwoma okręgami, z których większy miał około metra pięćdziesięciu średnicy. Całość została narysowana bardzo dokładnie – ramiona gwiazdy proste, kręgi niemal idealne. Reszta ściany była pusta.

- Co pan o tym sądzi? – zapytał posterunkowy.
- Hm... Nie jest to zwykłe graffiti, to na pewno.
- Magia?
- Albo astrologia. Wielu narkomanów zajmuje się wszelkiego rodzaju mistycyzmem i innymi bzdurami, co zresztą pasuje do atmosfery tego miejsca.
- Te świece...
- Nie wyciągajmy pochopnych wniosków, synu. W ten sposób nie dostaniesz się do wydziału dochodzeniowego. Powiedz mi, dlaczego korzystamy tu wszyscy z latarek?
- Odcięli prąd.
- Zgadza się. A więc potrzebowali świec.
- Skoro tak pan uważa, panie inspektorze...
- Właśnie tak uważam. Kto znalazł ciało?
- Ja. Było zgłoszenie, anonimowe. Dzwoniła jakaś kobieta, pewnie lokatorka. Wygląda na to, że pozostali wynieśli się w pośpiechu.
- Więc nikogo tu nie było, kiedy przyjechałeś?
- Nie, panie inspektorze.
- Domyślasz się, kto to może być? – Rebus wskazał

latarką zwłoki.

– Nie, panie inspektorze. A pozostałe domy to też squaty, więc wątpię, żeby mieszkańcy coś wiedzieli.

– Wręcz przeciwnie. Jeśli ktoś zna tożsamość zmarłego, to właśnie ci ludzie. Weź kolegę i zapukajcie do ich drzwi. Zachowujcie się swobodnie, żeby nie pomyśleli, że chcecie ich eksmitować lub coś w tym stylu.

– Tak jest. – Mundurowy wyraźnie nie miał ochoty wychodzić. Po pierwsze, pewnie nie wiedział, jak wypytywać ludzi. Po drugie, wciąż padał ulewny deszcz.

– Ruszaj – ponaglił go Rebus, ale niezbyt ostro.

Chłopak oddalił się, zabierając po drodze kolegę.

Rebus podszedł do fotografa.

– Robi pan dużo zdjęć – zauważył.

– Przy takim świetle trzeba trochę napstrykać, żeby coś z tego wyszło.

– Szybko pan tu przyjechał, zgadza się?

– Rozkaz komendanta Watsona. Chce fotorelacji ze wszystkich incydentów związanych z narkotykami. To część jego kampanii.

– Makabryczne życzenie, nie sądzi pan? – Rebus poznał już nowego komendanta. Świadomy społecznie, zaangażowany w lokalne życie. Pełen dobrych pomysłów, tyle że do ich realizacji brakowało ludzi. Rebusowi coś przyszło do głowy. – Skoro już tu pan jest, proszę zrobić parę zdjęć tej ściany, dobrze?

– Nie ma sprawy.

– Dzięki – rzucił Rebus, po czym zwrócił się do lekarza:

– Jak szybko się dowiemy, co jest w tej pełnej szaszetce?

– Jeszcze dziś, najpóźniej jutro rano.

Pokiwał głową. Dlaczego to go zainteresowało? Może sprawił to posepny dzień, może atmosfera panująca w tym domu albo dziwaczne ułożenie ciała. Wiedział tylko, że coś poczuł. Jeśli się okaże, że to nie intuicja gliniarza, ale stłumiony ból w kościach, to cóż, trudno. Wyszedł z pomieszczenia i zrobił obchód po reszcie domu.

Prawdziwy horror znalazł w łazience.

Muszla sedesowa musiała zatkać się kilka tygodni wcześniej. Na podłodze leżał przepychacz, więc najwyraźniej podjęto jakąś próbę odblokowania przepływu – bezskutecznie. Zachlapany zlew służył za pisuar, a wanna za składowisko ekskrementów, po którym pełzało kilkanaście dużych, czarnych jak smoła much, i za kontener wypełniony workami z odpadkami i kawałkami drewna... Rebus bez wahania opuścił to miejsce i zatrzasnął za sobą drzwi. Nie zazdrościł robotnikom miejskim, którzy będą musieli tu w końcu przyjechać i uporządkować tę gnijącą norę.

Jedna sypialnia była zupełnie pusta, a w drugiej leżał śpiwór wilgotny od kapiącej przez dach wody. To pomieszczenie miało jakąś tożsamość dzięki przypiętym do ścian zdjęciom. Rebus przyjrzał się z bliska i zauważył, że są to oryginalne fotografie, które mogły stanowić rodzaj portfolio. Z pewnością zostały dobrze zrobione, co rozpoznało nawet jego niewprawne oko. Kilka przedstawiało zamek w Edynburgu w mgliste dni, kiedy prezentował się szczególnie ponuro. Inne ukazywały go w pełnym słońcu – nadal wyglądał ponuro. Na paru była dziewczyna w bliżej

nieokreślonym wieku. Pozowała, ale sądząc po szerokim uśmiechu, nie traktowała roli modelki poważnie.

Obok śpiwora leżał pojemnik na śmieci do połowy wypełniony ubraniami, a obok niego mała sterta książek w miękkiej oprawie z oślimi uszami: Harlan Ellison, Clive Barker, Ramsey Campbell. Science fiction i horror. Rebus zostawił je tam, gdzie były, i wrócił na miejsce zbrodni.

– Zrobione – powiedział fotograf. – Jutro dostarczę panu te zdjęcia.

– Dzięki.

– A tak przy okazji, robię też sesje portretowe. Fajna rodzinna fotografia dla dziadków? Pamiątka dla synów i córek? Proszę wziąć moją wizytówkę.

Rebus przyjął ją, włożył płaszcz przeciwdeszczowy, wyszedł z domu i ruszył do samochodu. Nie lubił zdjęć, zwłaszcza tych robionych jemu. Nie chodziło nawet o to, że źle na nich wypadają. Nie, było w tym coś więcej.

Podstępne podejrzenie, że zdjęcia naprawdę mogą ukraść ci duszę.

W DRODZE POWROTNEJ NA komendę, gdy jechał w niewielkim popołudniowym korku, Rebus zastanawiał się, jak wyglądałoby jego rodzinne zdjęcie z żoną i córką. Nie, nie potrafił sobie tego wyobrazić; za bardzo się od siebie oddalili, odkąd Rhona zabrała Samanthę do Londynu. Sammy nadal do niego pisała, ale nie odpowiadał zbyt szybko, więc listy od urażonej córki przychodziły coraz rzadziej.

W ostatnim wyraziła nadzieję, że on i Gill są szczęśliwi.

Nie odważył się napisać jej, że Gill Templer zostawiła go kilka miesięcy temu. Właściwie to nie miał nic przeciwko poinformowaniu o tym Samantha, lecz nie potrafił znieść myśli, że prawdę mogłaby poznać Rhona. Kolejny niewypał na polu jego nieudanych związków, Gill związała się z didżejem z lokalnej stacji radiowej, człowiekiem, którego entuzjastyczny głos Rebus słyszał za każdym razem, gdy wchodził do sklepu, na stację benzynową lub mijał otwarte okno w którejś z kamienic.

Oczywiście nadal widywał Gill kilka razy w tygodniu, na zebraniach na komendzie, a także na miejscach zbrodni. Właśnie teraz, gdy zrównał się z nią rangą.

Detektyw inspektor John Rebus.

No cóż, wystarczająco długo czekał na awans, a zawdzięczał go długiej i zawiłej sprawie, okupionej osobistym cierpieniem. Co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości.

Nie miał też wątpliwości, że nie spotka się już więcej z Rian. Nie po wczorajszej kolacji, nie po dość nieudolnej próbie okazywania jej czułości. Kolejnej nieudanej próbie stworzenia relacji. Gdy leżał obok niej, uderzyło go to, że jej oczy są niemal identyczne jak oczy inspektor Gill Templer. Czyżby miała mu ją zastąpić? Nie, z pewnością to już nie wiek na takie sentymenty.

– Starzejesz się, John – powiedział do siebie.

Zaczął odczuwać głód, a tuż za skrzyżowaniem była knajpa. A co tam, do cholery, miał prawo zrobić sobie przerwę na lunch.

W BARZE SUTHERLAND PANOWAŁA cisza, bo poniedziałkowa pora lunchu była jednym z najślabszych dla handlu momentów tygodnia. Pieniądze zostały wydane i brakowało rozrywek. I oczywiście, jak szybko przypomniał Rebusowi barman, Sutherland nie celował w klientelę wygłodniałą o tej porze.

– Żadnych gorących posiłków – powiedział. – I żadnych kanapek.

– To może pasztecika, cokolwiek, byle nie pić piwa na czczo – błagał Rebus.

– Jeśli chce pan coś zjeść, wokolicy jest mnóstwo kawiarni. Ten pub serwuje piwa i alkohole wysokoprocentowe, to nie bar szybkiej obsługi.

– Więc może chociaż chipsy?

Barman przyglądał mu się przez chwilę.

– Jaki smak?

– Serowo-cebulowe.

– Skończyły się.

– No to solone.

– Nie ma, sprzedane. – Barman wydawał się rozbawiony.

– Cholera – rzucił Rebus z rosnącą frustracją. – To co pan ma, na Boga?

– Dwa smaki. Curry albo jajka na bekonie z pomidorami.

– Jajka? – Rebus westchnął ciężko. – W porządku, niech pan da po paczce obu.

Barman schylił się pod ladą, żeby znaleźć najmniejsze możliwe opakowania z przekroczonym terminem przydatności do spożycia.

– Jakieś orzeszki? – Rebus desperacko wykrzesał z siebie resztki nadziei.

Barman spojrzał w górę.

– Prażone bez tłuszczu, sól i ocet, i chilli.

– Mogą być – powiedział Rebus, zupełnie zrezygnowany.

– I jeszcze raz pół litra ale.

Kończył właśnie drugie piwo, gdy drzwi pubu uchyliły się z piskiem i do środka wszedł mężczyzna o rozpoznawalnej sylwetce. Dał gestem znać, że chce się napić, zanim jeszcze znalazł się w połowie drogi do baru. Zauważył Rebusa, uśmiechnął się i usiadł obok niego na jednym z wysokich stołków.

– Czołem, John.

– Dzień dobry, Tony.

Inspektor Anthony McCall usiłował utrzymać równowagę na niewielkim okrągłym siedzisku stołka barowego, ale rozmyślił się i stanął, opierając łokcie na świeżo wytartym blacie. Wlepił wygłodniały wzrok w przekąski Rebusa.

– Daj paczkę.

Kiedy Rebus mu ją podsunął, wyciągnął garść chipsów i wepchnął do ust.

– Gdzie byłeś dziś rano? – zapytał Rebus. – Miałeś wezwanie, musiałem jechać za ciebie.

– Ta sprawa w Pilmuir? Ach, wybacz, John. Miałem długą noc i strasznego kaca od rana. – Barman postawił przed nim mętne piwo. – Potrzebny mi klin. – Po czterech długich łykach w szklance została jedna czwarta zawartości.

– W porządku – rzucił Rebus. – I tak nie miałem nic lepszego do roboty. – Rebus pociągnął łyk. – Chryste, te

domy to straszne rudery.

McCall, zamyślony, skinął głową.

– Nie zawsze tak było, John. Ja się tam urodziłem.

– Poważnie?

– Właściwie to urodziłem się na osiedlu, które stało tam wcześniej. Warunki były tak kiepskie, że domy zrównali z ziemią i na ich miejsce wybudowali Pilmuir. Teraz jest to cholerne piekło na ziemi.

– Zabawne, że to mówisz. Jeden z młodych mundurowych uznał, że ta sprawa może mieć jakiś związek z okultyzmem.

McCall podniósł wzrok znad szklanki.

– Na ścianie był narysowany jakiś symbol rodem z czarnej magii – wyjaśnił Rebus. – A na podłodze stały świece.

– Składają tam ofiary? – zapytał McCall, chichocząc. – Moja żona uwielbia horrory. Przynosi z wypożyczalni kasety wideo. Przypuszczam, że wysiaduje przed telewizorem i ogląda je całymi dniami, kiedy mnie nie ma.

– Poważnie myślę, że może chodzić o satanizm albo jakieś czary. To wszystko nie może być tylko wymysłem pismaków z brukowej prasy.

– Wiem, jak możesz to sprawdzić.

– Jak?

– Na uniwersytecie – powiedział McCall.

Rebus zmarszczył brwi.

– Mówię serio – rzucił McCall. – Mają wydział, który bada duchy i tego typu rzeczy. Założyli go za kasę jakiegoś zmarłego pisarza. – Pokręcił głową. – Niewiarygodne, co ludziom może wpaść do głowy.

– Czytałem o tym. Chodzi o majątek Arthura Koestlera, tak?

McCall wzruszył ramionami.

– Stawiam raczej na Arthura Daleya – powiedział i opróżnił szklankę.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).